

Zdradzeni, wyklęci, oczernieni

Herkus
Kunčius



przełożyła
Zuzanna Mrozikowa



Išduoti



Išsižadėti



Apšmeižti

Herkus Kunčius

Zdradzeni, wyklęci, oczernieni

Przełożyła Zuzanna Mrozikowa

Warsztaty Kultury

Lublin 2024

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na
www.legalnakultura.pl

prawolubni



Zdradzeni, wyklęci, oczernieni

Moje patologiczne pragnienie, by zostać Europejczykiem, to atawizm, irytująca kość ogonowa. Zacząłem od sprzedaży dwóch dużych bursztynów i telewizora marki Šilelis, dzięki czemu zdobyłem wytrychy do Polski. A tam: podupadające czasopisma „Projekt” i „Sztuka”, koloryzowane portrety Jana Pawła II, „Trybuna Ludu”. Nakupowałem chrześcijańskich książek, o których niby to od dawna marzyłem, zdobyłem Kurta Vonneguta, Stephen Kinga, dzieła Giorgia Vasariego, a nawet Pismo Święte w skórzanej okładce wydane przez adwentyistów, którego zresztą nigdy nie przeczytałem.

Nie, generał Wojciech Jaruzelski i jego stan wojenny nigdy mi się nie podobali. W Paryżu kasztany i Derrida, a tu: szarzyzna dokoła, kawa z fusami, płaczący inteligenci, którzy muszą za każdym razem wspomnieć z nostalgią o Wilnie, Rossie, Ostrej Bramie i Sercu Syna. Pytają, co myślę o Adamie Mickiewiczu, wzdychają, że ciężko jest żyć w komunizmie – żeby kupić mięso, trzeba stać w kolejce całą dobę, i tak dalej. A było, było ongiś jedno wspólne państwo, kultura, najnowocześniejsza Konstytucja... Milkną wymownie, jakby mi współczuli, że zostałem zepchnięty przez historię na pograniczne bagna.

Pewex, Pewex, Pewex, ikonostasy niepróbowanych jeszcze trunków – „dysydenci” kupowali mi je za marki, które, dziś już wiadomo, zdobywali przez agentów CIA. To im zawdzięczam pobudzenie receptorów smaku, które dotychczas znały jedynie wodę i wódkę. Dziękuję! Dziękuję ci, Ameryko, że odróżniam dżin od toniku!

Prawdziwy rozwój intelektualny: włóczęgi nad Wisłą, Cricot Kantora, kasety porno w aksamitnym podziemiu, konceptualizm, Polska Szkoła Plakatu, Piwnica pod Baranami, Wyborowa, handel skórzany mi kurtkami i ambitne nadzieje, że świat się kiedyś zmieni:

*A na drzewach,
Zamiast liści,
Będą wisieć –
Komuniści.*

Później, w 1989 roku, kupiłem w Wilnie z kolegą dziesięć pompek elektrycznych marki Mały sz. Nosilem koszulkę z napisem „Canada” i drugą z napisem „Toronto”, i było to niemal wyzwanie rzucone Moskwie. Obaj z M.C. nie chcieliśmy dłużej być Rosjanami, opracowaliśmy szczegółowy plan ucieczki – przez Węgry, Austrię, Niemcy... do Południowej Afryki, gdzie właśnie skończył się apartheid. Czarni nie są mściwi, boją się, że biali puciekają, mówią o ustępstwach, a my chcieliśmy być wreszcie biali, zasługiwaliśmy na to, by żyć jako Euroafrykanie, a nie niewolnicy.

Lato. Węgierskie służby graniczne szybko się demokratyzowały i nie strzelały do enerdowskich Niemców – szurów uciekających z okrętu admirała Honeckera – chyba że niechący. A były ich setki, wręcz tysiące. Przedzierał się przez Sopron do Austrii, granica była dziurawa jak rzeszoto, to budziło nadzieję. Chcieliśmy do nich dołączyć, zdradzić ZSRR – naszą ojczyznę, naszą bankrutującą radziecką ojczyznę, która gwarantowała nam dożywanie w bloku komunistów i bezpartyjnych.

Zatrzymaliśmy się w Budapeszcie. Nie, nie w obozie dla uchodźców. Wynajęliśmy luksusowe mieszkanie urządzone na ludowo – wychodzi na to, że udało nam się sprzedać pompy.

Po dwóch miesiącach, kiedy wszystkie muzea zostały zwiedzone, usługi erotyczne wypróbowane, kiedy napłulo się już do Dunaju, ile dusza zapagnie, wyleżało w parkach, posmakowało wszystkich win i zatrulo gulaszem, kiedy schodziliśmy tam i z powrotem całą Budę i Peszt, a nawet znaleźliśmy domniemany grób Imre Nagya i postaliśmy przy nim w zadumie... skończyły się nam pieniądze. Nie pozostało nic innego, jak uciekać do Austrii, tam się zobaczy...

Po Sopronie kręciła się spuchnięta od alkoholu enerdowska młodzież objuczona gigantycznymi plecakami. Zgraje zdrajców socjalizmu, takich jak my, sami chuligani. Od granicy dzieliło nas dziesięć kilometrów. Będziemy musieli przedzierać się do kapitalizmu nocą. Tak bardzo chciało nam się już liznąć jego słodyczy. W Sopronie, w sklepie garmazeryjnym, sprzedawczyni zapewniła nas, że Węgrzy nie będą strzelać. Najlepiej – pokazała na mapie – iść tędy. Ach, prawda, powrotu już nie będzie. Nigdy.

Wypiliśmy kawę. Potem tokaj. Zaczęły nas ogarniać wątpliwości. Zamówiliśmy drugi raz. Rozmyśliłem się. Nie, nie, nie będziemy Euroafrykanami. Voodoo to zbyt obca kultura. A niech tam, jesteśmy jeszcze młodzi! Przez Lwów – gdzie zatrzymał się nasz pociąg i gdzie w przystępie rozpaczy splukaliśmy się na strzelnicy – wróciliśmy do Litewskiej SRR. Znów byliśmy Rosjanami. Sądziłem, że na całe życie.

W radzieckim Wilnie nie wystąpiłem z Komсом ołu, nie wpiąłem w klapę trójkolorowego znaczka, nie podarłem swojej książeczki wojskowej. Gdybym miał żółte papiery, to też zachowałbym na pamiątkę. Chciałem wstąpić do Partii – nie przyjęli. Dlaczego? Do dziś nie mogę tego zrozumieć. Niegodny zaufania?... Degenerat?... Zboczeniec?...

Byłbym komunistą. Prawdziwym Rosjaninem. Trochę Litwinem. W głębi duszy – Polakiem. Internacjonalistą. W moim sercu przyjaźń między narodami wrze jak w kotle: Gombrowicz, Žemaitė, Nabokov, Šimonis, Gorki, Witkiewicz to główne składniki wywaru. A w roli przypraw: francuski egzystencjalizm, *Neue Wilde*, baryton Josif Kobzon, McDonald's. Wspólnymi siłami pokonamy trudności! Niestety, nie udało mi się wślizgnąć do żadnej partii. Niedawno rosyjscy *nazbole* oznajmili, że jest im ze mną nie po drodze – prawdopodobnie chcieli zrobić mi przykrość.

Demokracja. Chrześcijaństwo z ludzką twarzą bez inkwizycji – jak pęknięty wrzód. Jakieś pieśni. Księża. Kazania. Patrioci: wańki-wstańki gimnastykujące się na słupach Giedymina. Marsze. Staruszkowie potrząsają chorągiewkami, mdleją. Łzy. Zaślepienie. Krzyże. Oskarżenia. Prawdziwy dreszczowiec.

Sparaliżowany profesor matematyki U.V. z Norwegii, który przyjechał do Wilna na konferencję naukową ze swoim umiśnionym pomocnikiem, poprosił, żeby pokazać mu getto. Tu także było getto, już wiem, że nie tylko w Warszawie. Proszę, tutaj.

W synagodze podchodzi do nas rabin, z przejęciem opowiada o Ponarach, o oddziale *litowców*, który budził grozę niczym Latający Holender. Patrzy na mnie podejrzliwie. Jakiej jestem narodowości? Ja? Nie jestem już Rosjaninem, może jestem adoptowanym Litwinem, wykastrowanym Polakiem... Czy tam Hessego, interesuję się Vyduńasem, Albertem Camus. No tak, byłbym zapomniany, jestem prawie Litwinem, który niechcący zaraził się wirusem nacjonalizmu od zmartwychwstałego Kudirki: teraz wszystko robię ku chwale ojczyzny.

Garbonosy Norweg U.V. bierze mnie w obronę: to dobry chłopak, niewinny, tak skrupulatnie pokazał mi getto, opowiadał o Wielkim Księstwie Litewskim, Čiurlionisie, baroku, Kowieńskiej Szkole Artystycznej, powstaniu kłajpedzkim. Prawda, jeszcze trochę ciemny, o wielu rzeczach nie wie. O czym nie wiem?... O niczym, żyć przed tobą, jeszcze się dowiesz, uspokajamnie U.V. i zaprasza na kolację. Domyślam się, że po to, by poszerzyć moje horyzonty.

Wynosimy sparaliżowanego U.V. z samochodu. W restauracji nie ma wolnych stolików. Znow wsadzamy go do samochodu. Wieziemy gdzie indziej. Tu też nie ma miejsc. Pchamy z powrotem. Wsadzamy. Wynosimy. Znow nie ma miejsc. Pada mokry śnieg. Zaczynam nienawidzić siebie, profesora, Norwegii, jego towarzysza – pechowego uczestnika rozgrywek olimpijskich w Moskwie.

Wilno – zapadła dziura, dół kloaczny, a ja w nim... Nie martw się, pociesza mnie U.V., w Oslo też trudno dostać się wieczorem do restauracji. Nie wierzę. Nie wierzę, że w środę o siódmej wieczorem w Oslo wszystko jest zapchane. Nienawidzę Wilna. Udaję, że nie mam nic wspólnego z tym groteskowym dniem, że nie jestem stąd, należę do zupełnie innej rasy duchowej.

Restauracja Lokis ma wolne stoliki, ale w piwnicy. Wózek zaklinował się na schodach. Nie przepchniemy go, w odradzającej się Litwie nigdzie z profesorem nie pobiesiadujemy.

A niech tam. Jemy kurczaka z rożna w pokoju hotelowym. Rękami. Z twarzą blyszczącą od tłuszczu U.V. opowiada mi o Holokauście. Nikogo nie oskarżając, po prostu wymienia fakty i mlaska, delektując się smakiem kurczaka. Nie, nie jestem Litwinem, wyrzekam się tej części własnej istoty. Nie, nie jestem Litwinem. Niemżliwe, tutaj takich nie ma! Więc kim?, pyta U.V. Będę myślał – przez okrągłe dziesięć lat, aż do dwutyśiecznego roku, będę szukał, będę czytał, może zrozumieć. Hallelu – Jah!

Narodowość prześladowuje dziś człowieka jeszcze natrętniej niż kultura. Irytuje. Zwłaszcza Bizancjum, którego już nie ma, czuję jednak, że może się odrodzić. To mnie nie niepokoi.

W zjednoczonych Niemczech na każdym kroku sły szę pytanie: „Jest pan Rosjaninem?”. Nie, jestem nazistą, tak jak wy, z Gestapo. Niemżliwe!? Naprawdę, zapewniam – w wolnych chwilach uprawiam musztrę, prowadzę śledztwa, strzelam do ludzi. Nie mówi pan poważnie. Chce się pani przekonać?... Litwa, Litwa... gdzie to jest? Obok Stuttgartu. Nie, nieprawda – odsuwa się urażona. Niiieeee... jest nad Morzem Bałtyckim, Via Baltica, Muzeum Diabłów w Kownie, Mačiūnas, Fluxus, Sabonis... Bzdura, obok Stuttgartu, przy sięgam! Zaczyna wypytywać, czy chcę zostać w Niemczech, zasymilować się. Tak, to o tym ciągle marzę, po odzyskaniu niepodległości na Litwie zostały jedyne lasy i kleszcze, szerzy się kanibalizm, nam, zabójcom Żydów, nie jest lekko – komuniści znow wygrali wybory. „Ale piszecie po rosyjsku?”, docieka. Och, nie tylko piszemy, także komponujemy, malujemy, rzeźbimy, nasze wodociągi, ochrona środowiska – wszystko to przejęliśmy z Konstantynopola, dawnej Rusi, może

słyszała pani o takim azjatyckim mieście: Kijów? Ciekawe, bardzo ciekawe. Mnie też ciekawie się tam żyje – wyznaje. Teleturnieje, sam obójstwa, całkiem sensowne mecze koszykówki, debile skandujący na ulicach – nigdzie się ich nie zamyka, zachowało się wiele pięknych pieśni, kraj często odwiedza Rostropowicz, a Sir Yehudi Menuhin powiedział: „Litwa jest łąką w moim oku”. A jakie wrażenie robi na panu wolny Zachód? Jaki? Wolny. Jest cudowny, niepowtarzalny, widziałem dzinsy rosnące na drzewach! Może się panu wydawało? Czy pani wie, że my, „Litwini”, mamy nie pięć, ale cztery palce u nóg? Gdzieś o tym czytałam, tak, już sobie przypominam, w Encyklopedii Britannica, na pewno.

Nadzieja, że jestem komuś potrzebny albo że mogę być interesujący, maleje wraz z wartością rubla. Świat nie jest tutaj sprawiedliwy, ale inny nie będzie, choć zamienił maszynę do pisania na komputer, wódkę na wino, a ja coraz częściej piję ziółka i nawet pewnego razu w Hanowerze podałem dłoń Schröderowi. Kusząca alternatywa: jeszcze bardziej wypaczyć ten świat, oszpecić go nie do poznania, uczynić obcym, aż zemdli. I tak każdego dnia. Nie chcę już niczego udowadniać, zamiast tego pragnę zwodzić – siebie. Przyznawać się, zaprzeczać, obrzydzać siebie, hańbić, poniżać. To wyścig, żeby inni nie zrobili tego pierwsi, żeby szybko wszystko zgarnąć.

Opluć się, wylać na siebie kubel pomyj. To ja, pod każdym względem niepoprawny pisarz litewski, Herkus Kunčius. Zamieniłem de Sade’a na Céline’a, *Doktora Żywago* na *Poemat pedagogiczny* Makarenki.

Nie mnie już nie dziwi. Gdyby na Górze Krzyży nieostrożnie objawił się Jezus Chrystus, zadenuncjowałby go jako agenta Mosadu, niech się głowią mędrcy, co z nim zrobić. Naprawdę, dlaczego by nie wydać go jeszcze raz? Okoliczności znów są sprzyjające: trzecie tysiąclecie ledwie się zaczęło, a my wciąż jesteśmy młodzi i energiczni.

Praska Wiosna

Trzy mając się za ręce i pokrzykując radośnie, chłopak i dziewczyna zbiegali ścieżką w zarośla.

– Zobacz, tulipan! Skąd się tu wziął?

– Jest dla ciebie. – Chłopak wręczył dziewczynie kwiatek.

Przyłożyła płatki do ust. Pocałowała.

Śmiejąc się, pobiegli ścieżką dalej w dół. Chłopak ją gonił.

Prawie złapał.

Nad drzewami opustoszałego parku miejskiego mignął dziwny ptak.

Zatrzepotał skrzydłami i znikł.

Starszy szeregowy Peter Sauter zdrzął. Przy stanął. Po chwili nabral odwagi i objął rękami talię stojącej obok Milady, ścisnął, uwięził.

Czyżby miłość od pierwszego wejrzenia, myślał Peter. Tak nagle? Nieoczekiwanie? Z dala od ojczyzny? Co jej się mogło spodobać we mnie, osiemnastolatku? Dlaczego? Jest przecież wspaniała, to złotowłosa bogini. Cudzoziemka. No, niezupełnie cudzoziemka, ale mimo wszystko.

A ja? Kim jestem? Nikim. Zwyczajnym poborowym. A jednak... Może naprawdę podobam się kobietom? Cudzoziemkom? To by wyjaśniało, dlaczego jest dla mnie taka miła, żywciliwa, bezpośrednia. Ale mimo wszystko – dlaczego?

Tymczasem koledzy z pułku...

– Nareszcie jesteśmy sami – powiedział radośnie chłopak, odpędzwszy pytania. – Tyle ci chcę powiedzieć... Jaka piękna byłaś tego dnia...

– Którego?

– Kiedy wskoczyłaś na nasz czołg i własnym ciałem zagroziłaś kolumnie drogę do centrum miasta.

Milanda uśmiechnęła się. Doskonale pamiętała, było to zaledwie poprzedniego dnia.

– Myślałam, że dziś na warcie, przy bramie, zobaczyłeś mnie pierwszy raz – przypomniała beztrąsko, przebiegle mrużąc oczy.

Peter poprawił na ramieniu ciasny pas karabinu i zamysłił się.

– Może i pierwszy – odparł tajemniczo i nagle zrobił się czerwony.

Młodzi stali i patrzyli sobie w oczy.

W parkowej sadzawce spokojnie pływały kaczki.

Gdzieś w oddali słychać było strzały.

Huknęło działo. Jedno, drugie.

Z centrum miasta dobiegł terkot kilku serii z karabinu maszynowego.

Splószone wystrzałami wrony zakrakały nad drzewami.

– Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli ja, Peter Sauter, okażę się tchórzem – oświadczył stanowczo chłopak i jeszcze mocniej ścisnął talię Milandy. – Strach nikogo nie uratuje od śmierci. Chłopaki z naszego pułku przysięgli, że zostaną tu bohaterami. Milando, nie jestem komunistą, jestem Estończykiem, człowiekiem radzieckim: Rosjaninem. Poderżniemy gardło każdemu faszystcie, spełnimy internacjonalistyczny obowiązek. Faszyci nie będą kłać naszej socjalistycznej ziemi. Masz moje słowo. Ja, Peter Sauter, obiecuję ci to.

Milanda, mile polectana tymi słowami, zamknęła oczy z zadowolenia.

Podstępny wiosenny wietrzyk popieścił jej nagą szyję.

Znow zrobiło się cicho. W parku było bezpiecznie.

Wartownik Peter Sauter zdjął karabin. Zgrzytnął bezpiecznik. Ostrożnie położył broń na trawie.

Milanda pogładziła chłopaka po policzku. Drugą ręką rozpięła wrzynający mu się w szyję kołnierzyk.

– Peterze – szepnęła – jestem tutaj, obok ciebie, ponieważ los mojego narodu jest nierozdzielnie związany z losem narodu rosyjskiego. Od tylu stuleci, tysiącleci, trzymamy się razem, ramię przy ramieniu. Krew i praca umocniły naszą przyjaźń. Ta przyjaźń jest naszą siłą, siłą wszystkich słowiańskich narodów. Broń jej, Peterze, czuwaj. Póki ona żyje, przed niczym się nie cofniemy, nikt nas nie pokona. Czy tak? Obiecujesz?

– Przyśięgam.

– Posłuchaj, jak bije moje serce.

Peter Sauter zaczął oddychać szybciej.

Pocił się.

Delikatne dłonie Milandy rozpięły mundur wartownika.

Opadł pas z błyszczącą gwiazdą na klamrze.

Po leżącym na trawie bagnecie spacerowała mała, ciekawska mrówka.

Peter leżał na plecach z założonymi pod głowę rękoma i patrzył w oślepiająco jasne słońce. Było takie samo jak w jego rodzinnej Narwie, gdzie spędził dzieciństwo. Tam, w miłej Narwie, pozostali jego mama Zina, tata Lenart, dziadek, bracia... Tam, daleko od zdradziecko zbuntowanej Pragi, ludzie co dzień rano chodzili do pracy, kochali się, polowali, tworzyli dzieła sztuki, zbierali jagody, łowili ryby, marzyli.

– Co się stało? Dlaczego przestałaś? – odezwał się do siedzącej na nim Milandy, wyrwany nagle z odurzających wspomnień.

– Jakos dziwnie się...

– Czy to twój pierwszy raz? – Nie udało mu się ukryć ciekawości.

– Prawie – wygadała się Milanda i zamknęła oczy ze wstydu.

– Kochasz mnie? – zapytał nagle Peter, wciskając się jeszcze mocniej w biodra dziewczyny.

– Kocham – powiedziała cicho Milanda.

Poruszali się rytmicznie. Zdecydowanie.

– Bardzo cię kocham. Nie wyobrażam sobie mojego życia, mojego kraju, jego przyszłości bez ciebie, bez twojej pomocy, bez twojej przyjaźni. Kocham cię do szaleństwa, Peterze – paplała Milanda.

– Kocham, kocham, kocham! – krzyczał Peter. – Milando, chodźmy do urzędu, weźmy ślub. – Zajrzał jej głęboko w oczy. W jego spojrzeniu była stanowczość człowieka Północy. – Nie czekajmy. Zwrócę się do pułkownika Izmaïla Abdurachmanowa. To dzielny człowiek, towarzysz, zrozumie nas, naszą miłość, uczucie. Przecież też był kiedyś młody, tak jak my. Zamieszkamy razem, na początku w koszarach. Potem pojedziesz ze mną do Estonii. Milando, tyle chciałbym ci powiedzieć...

Dziewczyna rozglądała się ukradkiem i obserwowała zarośla.

W krzakach coś zaszeleściło.

– Słyszysz? – krzyknął nagle zdenerwowany chłopak.

Wartownik Peter Sauter dostrzegł dziwną plamę, która niepewnie skradała się w ich kierunku, była coraz większa. Chciał wstać, ale Milanda przygniotła go całą mocą swojego pożądanego, jakby chciała żołnierza ukryć, osłonić.

Znieruchomiała.

Przycisnęła do ziemi.

Peter jęknął.

Dziewczyna szukała czegoś w trawie po omacku. Znalazła i mocno chwyciła.

Zadrżała.

Oderwała się od ukochanego.

Pocałowała go w usta.

Spłoszone kaczki, kwacząc przeraźliwie, uciekły z sadzawki w bezpieczniejsze miejsce.

Milanda wstała.

Starszy szeregowy Peter Sauter leżał bez ruchu i wciąż się marzy cielsko uśmiechał.

Po grdyce wartownika szła maleńka mrówka. Miniaturowy owad zatrzymał się na sekundę. I ruszył dalej – w kierunku noża tkwiącego w szyi Petera Sautera.

– Szybciej, mam o – rozkazująco, choć z szacunkiem, ponaglił Milandę chłopak, który wyrósł nagle obok niej z koktajlem Mołotowa w ręku.

Ubrała się prędko. Podniosła karabin i zarzuciła na ramię. Splunęła przez szparę między zębami.

Zapaliła.

Zaciągnęła się kilka razy i wyrzuciła dymiącego peta.

– Chodźmy – powiedziała zdecydowanie, rozgniatając obcasem niedopałek na płatkach tulipana, którego zerwał Peter.

W sercu kobiety, gdzieś na samym jego dnie, coś drgnęło.

Spojrzała za siebie.

Czuła dziwną, nieznaną dotąd, obrzydliwą pustkę.

Doktor Milanda Noskova, docentka Praskiej Akademii Weterynaryjnej, i gimnazjalista Jirzi Varhol kroczyli obok siebie w milczeniu. Słowo „wolność”, jeszcze niewypowiedziane na głos, coraz donośniej dźwięczało w ich sercach, wyrywało się z piersi, cisnęło na usta.

Zadanie zostało prawie wykonane: droga do radzieckiego magazynu broni była wolna.

Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Zdradzeni, wykleci, oczernieni](#)

[Praska Wiosna](#)

Swojski świat

Noc Aurory

Mawrom atti. Moty w zbrodni

Według To Hoa

Ziarno przyjaźni

Wojenne ścieżki

Balanga

Silent arma

Towarzy sz Nepom u cen

Taki sm utek

Łaźnia na Bałkanach

Nie, i jeszcze raz nie

Timur i Marat

Białowieża

Śpij, dziecino, zamknij oczka

Zaklęty krąg Hawany

Powrót

Karta redakcyjna

Wydawca / Warsztaty Kultury w Lublinie

ul. Grodzka 5a, 20-112 Lublin

warsztatykultury.pl

+48 81 533 08 18

sekretariat@warsztatykultury.pl

Lublin 2024, wydanie pierwsze

ISBN 978-83-68178-25-8

© 2007 Herkus Kunčius

© 2024 Warsztaty Kultury w Lublinie / Polish edition

© 2024 Zuzanna Mrozkowa / translation

Redaktorzy serii / Andrij Saweneć, Aleksandra Zińczuk

Redakcja / Agnieszka Smarżewska

Korekta / Damian Szandeki

Koordinacja / Przemysław Głuchowski

Projekt okładki / Ewelina Kruszewska



WSCHOD
KULTURY



kultura
enter



Plik przygotował Woblink

woblink

woblink.com

